



IT ENDS
WITH
US

COLLEEN
HOOVER

NA PODSTAWIE KSIĄŻKI NAKRĘCONO FILM
Z BLAKE LIVELY W ROLI GŁÓWNEJ



**IT ENDS
WITH
US**

COLLEEN HOOVER
IT ENDS
WITH
US

TŁUMACZENIE ANNA GRALAK



OTWARTE

KRAKÓW 2017

Tytuł oryginału: *It Ends with Us*

Copyright © 2016 by Colleen Hoover.
First paperback edition published by Atria Books,
a Division of Simon & Schuster, Inc., August 2016

Copyright © for the translation by Anna Gralak

Opieka redakcyjna: Natalia Karolak

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja: Joanna Mika

Korekta: Joanna Mika, Aneta Wieczorek

Łamanie: Daniel Malak

Projekt okładki: Laywan Kwan

Adaptacja okładki na potrzeby polskiego wydania: Eliza Luty

Fotografie na okładce: orchidea – © Sarah2 / Shutterstock.com,
drewno – © iStockphoto.com / janniwet

Fotografia autorki: Jen Sterling

ISBN 978-83-7515-458-0



Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

*Mojemu ojcu, który bardzo się starał nie być potworem.
I mojej matce, która dopilnowała, żeby nie było nas w pobliżu,
kiedy się nim stawał.*

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Siedzę okrakiem na balustradzie i spoglądam na bostońskie ulice z wysokości dwunastego piętra. Chcąc nie chcąc, myślę o samobójstwie.

Nie, nie o własnym. Lubię swoje życie i chciałabym się przekonać, co mnie jeszcze czeka.

Skupiam się raczej na innych ludziach i na tym, jak podejmują decyzję o rozstaniu się ze światem. Czy kiedykolwiek tego żałują? Podczas tego krótkiego swobodnego spadania tuż po skoku i na sekundę przed zderzeniem z ziemią na pewno czują odrobinę żalu. Może spoglądają na gwałtownie zbliżający się bruk i myślą: „O kurczę, to był zły pomysł”.

Z jakiegoś powodu mam jednak co do tego wątpliwości.

Dużo rozmyślałam o śmierci. Zwłaszcza dzisiaj, bo zaledwie dwanaście godzin temu wygłosiłam jedną z najbardziej imponujących mów pożegnalnych, jakie kiedykolwiek słyszeli mieszkańcy Plethory w stanie Maine. No dobrze, może wcale nie była najbardziej imponująca. Równie dobrze można by ją uznać za najbardziej beznadziejną. Chyba wszystko zależy od tego, czy spytalibyście o opinię mnie czy moją matkę. Moją matkę, która po dzisiejszym dniu nie będzie się do mnie odzywała przez co najmniej rok.

Nie zrozumcie mnie źle. Moja mowa pożegnalna nie była na tyle głęboka, żeby mogła przejść do historii tak jak ta wygłoszona przez Brooke Shields na pogrzebie Michaela Jacksona. Albo ta wygłoszona przez siostrę Steve'a Jobsa. Albo przez brata Pata Tillmana. Ale na swój sposób była imponująca.

Początkowo się denerwowałam. W końcu był to pogrzeb wielkiego Andrew Blooma – uwielbianego burmistrza mojego rodzinnego miasteczka i właściciela najlepiej prosperującej agencji handlu nieruchomościami w mieście. Męża uwielbianej Jenny Bloom, najbardziej szanowanej w całej Plethorze asystentki nauczyciela. Oraz ojca Lily Bloom – tej dziwnej dziewczyny z potarganymi rudymi włosami, która kiedyś zakochała się w bezdomnym i okryła rodzinę wielką hańbą.

Mowa o mnie. To ja jestem Lily Bloom, a Andrew był moim ojcem.

Gdy tylko skończyłam swoją mowę pożegnalną, wsiadłam na pokład samolotu, wróciłam do Bostonu i przywłaszczyłam sobie pierwszy dach, jaki udało mi się znaleźć. Jak mówiłam, nie dlatego że mam skłonności samobójcze. Po prostu bardzo potrzebuję świeżego powietrza i ciszy, a za cholerę nie mogę na nie liczyć w swoim pozbawionym dostępu do dachu mieszkaniu na trzecim piętrze, które zajmuję ze współlokatorką lubiącą słuchać własnego śpiewu.

Nie wzięłam jednak pod uwagę, że na dachu może być zimno. Jakoś wytrzymam, ale przyjemnie nie jest. Na szczęście widać gwiazdy. Martwi ojcowie, denerwujące współlokatorki i wątpliwej jakości mowy pożegnalne nie wydają się aż tak okropne, gdy nocne niebo jest wystarczająco bezchmurne, by można było dosłownie poczuć wspaństwo wszechświata.

Uwielbiam, gdy niebo wywołuje we mnie poczucie bycia kimś nieważnym.

Podoba mi się tu dzisiaj.

A właściwie... pozwólcie, że ujmę to w czasie przeszłym, który lepiej oddaje moje uczucia.

Podobało mi się.

Na moje nieszczęście ktoś z taką siłą otworzył drzwi, że jak przypuszczam, za chwilę będę mieć towarzystwo. Słysząc trzaśnięcie i czyjeś szybkie kroki. Nawet nie zadaję sobie trudu, żeby spojrzeć w tamtym kierunku. Ktokolwiek to jest, najprawdopodobniej nie zauważy, że siedzę na balustradzie po lewej stronie. Zjawił się tak nagle, że jeśli uzna, że jest sam, nie będzie to moja wina.

Wzdycham cicho, zamykam oczy i opieram głowę o otynkowaną ścianę, przeklinając wszechświat, który odebrał mi tę spokojną chwilę introspekcji. Mógłby przynajmniej dopilnować, żeby intruz był kobietą – jeśli już mam mieć towarzystwo, wołałabym damskie. Jestem nieduża, lecz silna i w większości sytuacji chyba potrafię dać sobie radę, ale teraz jest mi zbyt przyjemnie, żebym miała tkwić na dachu z jakimś obcym mężczyzną w środku nocy. Mogłabym zacząć się obawiać o swoje bezpieczeństwo i zapragnąć się stąd wynieść, a naprawdę nie chcę się stąd wynosić. Jak już powiedziałam... przyjemnie mi tu.

W końcu pozwalam swoim oczom na wycieczkę w stronę sylwetki pochylonej nad balustradą. Oczywiście jak na złość jest to bez wątpienia mężczyzna. Nawet gdy się pochyla, widzę, że jest wysoki. Szerokie barki silnie kontrastują z bezradnością, z jaką trzyma się za głowę. Z trudem dostrzegam gwałtowne unoszenie się i opadanie jego ramion, kiedy głęboko wciąga powietrze, by potem je z siebie wyrzucić.

Wygląda jak ktoś na skraju załamania nerwowego. Zastanawiam się, czy czegoś nie powiedzieć, żeby dać mu znać, że ma towarzystwo, albo czy nie chrząknąć, lecz zanim mam okazję przejść do czynów, szybko się odwraca i kopie jedno ze stojących za nim krzesel ogrodowych.

Wzdrygam się, gdy krzesło z nieprzyjemnym zgrzytem przesuwają się po dachu, ale ten gość, najwyraźniej nie wiedząc, że ma widownię, nie przestaje na jednym kopniaku. Kopie krzesło

raz po raz, bez końca. Ono zaś, zamiast się połamać w zderzeniu z siłą jego stopy, tylko coraz bardziej się od niego oddala.

To krzesło jest chyba z jakiegoś polimeru odpornego na ekstremalne warunki.

Kiedyś widziałam, jak cofając samochodem, mój ojciec najechał na stół ogrodowy wykonany z takiego tworzywa, i ten stół, gdyby mógł, zaśmiałyby mu się w twarz. Wgniółł się zderzak, a na meblu nie było nawet zadraśnięcia.

Ten gość najwyraźniej zdaje sobie sprawę, że nie ma szans w starciu z materiałem takiej jakości, bo w końcu przestaje kopać. Stoi nad krzesłem z zaciśniętymi pięściami. Szczerze mówiąc, trochę mu zazdroszczę. Po mistrzowsku wyładowuje agresję na meblach ogrodowych. Najwidoczniej podobnie jak ja miał gówniany dzień, lecz w przeciwieństwie do mnie, powstrzymującej złość, która narasta, by w końcu przejawić się pod postacią biernej agresji, on znajduje dla swojej ułjęcie.

Kiedyś znajdowałam ułjęcie dla złości w ogrodnictwie. Zawsze gdy coś mnie stresowało, szłam do ogródka i wyrywałam wszystkie chwasty, jakie zdołałam znaleźć. Odkąd jednak dwa lata temu przeprowadziłam się do Bostonu, nie mam ogródka. Ani tarasu. Nie mam nawet chwastów.

Może powinnam zainwestować w krzesło ogrodowe odporne na ekstremalne warunki.

Jeszcze przez chwilę gapię się na tego typu, zastanawiając się, czy kiedykolwiek sobie pójdzie. Ciągłe tylko stoi, wpatrując się w krzesło. Nie zaciska już dłoni. Spoczywają na jego biodrach i dopiero teraz zauważam, że jego koszula nie jest dobrze dopasowana wokół bicepsów. Wszędzie indziej tak, ale nie na tych potężnych barkach. Zaczyna gmerać w kieszeniach, aż w końcu znajduje to, czego mu brakowało, i – bez wątpienia wciąż szukając ułjęcia dla agresji – zapala skręta.

Mam dwadzieścia trzy lata, studiowałam i parę razy zdarzyło mi się popalać na imprezach. Nie zamierzam osądzać kogoś, kto ma ochotę puścić dymka w samotności. Ale właśnie

na tym polega problem – on nie jest sam. Po prostu jeszcze o tym nie wie.

Zaciąga się głęboko i zaczyna się odwracać w stronę balustrady. Wypuszczając dym, zauważa mnie. Kiedy nasze spojrzenia się spotykają, zastyga w bezruchu. Mój widok ani go nie zaskakuje, ani nie bawi. Facet stoi jakieś trzy metry ode mnie, lecz w świetle gwiazd widzę, jak powoli przesuwa wzrokiem po moim ciele, w żaden sposób nie zdradzając, o czym myśli. Niełatwo przejrzeć takiego gościa. Lekko mruży oczy i zaciska usta jak męska wersja Mona Lizy.

– Jak masz na imię? – pyta.

Czuję ten głos w żołądku. Niedobrze. Głosy powinny się zatrzymywać w uszach, ale czasami – właściwie to niezbyt często – czyjś głos przenika przez moje uszy i rozbrzmiewa w całym ciele. On ma właśnie taki głos. Głęboki, nasycony pewnością siebie i trochę jakby miękko-maślany.

Nie odpowiadam. Facet ponownie zbliża skręta do ust i się zaciąga.

– Lily – mówię w końcu. Mój głos brzmi okropnie. Zbyt słabo, by w ogóle zdołał dotrzeć do jego uszu, a tym bardziej rozbrzmieć w jego ciele.

Gość lekko unosi brodę i kiwa do mnie głową.

– Lily, czy mogłabyś stamtąd zejść?

Dopiero gdy wypowiada te słowa, zauważam jego postawę. Stoi wyprostowany, wręcz sztywny. Prawie jakby się bał, że spadnę. Nie zamierzam spaść. Balustrada ma co najmniej trzydzieści centymetrów szerokości, a ja w przeważającej mierze znajduję się po stronie dachu. Gdybym zaczęła się zsuwać, z łatwością mogłabym się czegoś złapać, a poza tym wiatr mi sprzyja.

Spoglądam w dół, na swoje stopy, potem znowu na niego.

– Dzięki, ale nie. Wygodnie mi tu, gdzie jestem.

Odwraca się lekko, jakby nie był w stanie patrzeć prosto na mnie.

– Proszę, zejdź stamtąd. – Teraz to już raczej żądanie, mimo że użył słowa „proszę”. – Stoi tu siedem wolnych krzeseł.

– O mały włos zostałoby sześć – mówię, przypominając mu, że właśnie próbował wykończyć jedno z nich.

Nie dostrzega w mojej odpowiedzi niczego zabawnego. Widząc, że nie mam zamiaru wypełnić jego polecenia, robi dwa kroki w moją stronę.

– Tylko dziesięć centymetrów dzieli cię od śmierci. A ja mam jej dość jak na jeden dzień. – Znowu mi pokazuje, że bym zesła. – Przez ciebie zacznę się denerwować. Nie wspominając o tym, że psujesz mi haj.

Przewracam oczami i przerzucam nogi na stronę dachu.

– Broń Boże, żeby skręt miał się zmarnować. – Zeskakuję na dół i wycieram ręce o dzinsy. – Lepiej? – pytam, ruszając w jego stronę.

Gwałtownie wypuszcza powietrze, jakby dotąd, widząc mnie na balustradzie, wstrzymywał oddech. Mijam go, idąc ku tej stronie dachu, z której roztacza się lepszy widok, i przy okazji jestem zmuszona zauważyć, że niezłe z niego ciacho.

Nie. Ciacho brzmi obraźliwie.

On jest piękny. Zadbany, czuć od niego pieniędzmi i wygląda na kilka lat starszego ode mnie. Gdy odprowadza mnie wzrokiem, w kącikach jego oczu pojawiają się zmarszczki, a jego usta zdają się zaciskać, mimo że wcale się nie zaciskają. Gdy docieram do tej strony dachu, z której widać ulicę, wychylam się i patrzę na samochody, starając się nie dać po sobie poznać, jakie zrobił na mnie wrażenie. Już po samej jego fryzurze poznaję, że facet należy do ludzi, których specjalnością jest robienie wrażenia na innych, więc postanawiam nie łechtać jego ego. Nie żeby w jakikolwiek sposób dał mi do zrozumienia, że cierpi na jego przerost. Ale nosi koszulę Burberry, a jeszcze mi się nie zdarzyło, żeby na moim radarze pojawił się ktoś, kto ot tak mógłby sobie na nią pozwolić.

Słyszę zbliżające się kroki i po chwili nieznajomy przechyla się przez balustradę obok mnie. Kątem oka widzę, że znowu zaciąga się skrętem. Potem podsuwa go mnie, ale tylko macham dłonią.

Ostatnią rzeczą, jakiej mi potrzeba, jest upalenie się w obecności tego faceta. Sam jego głos działa na mnie jak narkotyk. Z jakiegoś powodu pragnę go znowu usłyszeć, więc rzucam pytanie:

– No więc czym ci tak podpadło to krzesło?

Spogląda na mnie. N a p r a w d ę na mnie spogląda. W skupieniu patrzy mi w oczy, jakby wszystkie moje tajemnice uwidoczniły się na twarzy. Jeszcze nigdy nie widziałam tak ciemnych oczu. Chociaż może i widziałam, tylko że te wydają się ciemniejsze, bo należą do tak onieśmielającego człowieka. Nie odpowiada na moje pytanie, lecz nie tak łatwo stłumić moją ciekawość. Skoro zmusił mnie do zejścia z bardzo bezpiecznej i wygodnej balustrady, oczekuję, że będzie mnie zabawiał konwersacją.

– Chodzi o kobiety? – drązę. – Złamała ci serce?

Śmieje się cicho.

– Szkoda, że moje problemy nie są tak banalne jak sprawy sercowe. – Opiera się o ścianę, żeby nadal mieć mnie w zasięgu wzroku. – Na którym piętrze mieszkasz? – Oblizuje palce i gasi nimi skręta, po czym wkłada go z powrotem do kieszeni. – Nigdy wcześniej cię tu nie widziałem.

– To dlatego, że tu nie mieszkam. – Pokazuję w stronę swojego bloku. – Widzisz ten budynek towarzystwa ubezpieczeniowego?

Mruży oczy, spoglądając we wskazanym kierunku.

– No.

– Mieszkam w budynku obok. Jest za niski, żeby można go było stąd zobaczyć. Ma tylko trzy piętra.

Znowu na mnie patrzy, opierając się łokciem o balustradę.

– Skoro mieszkasz tam, to co robisz tutaj? Przyszłaś w odwiedziny do chłopaka czy coś?

Z jakiegoś powodu jego pytanie sprawia, że czuję się płytka. Jest zbyt proste – amatorski podryw. Sądząc po wyglądzie tego gościa, stać go na więcej. Myślę, że bardziej wyszukane teksty rezerwuje dla kobiet, które uznaje za warte wysiłku.

– Masz fajny dach – rzucam.

Unosi brew, czekając na dalsze wyjaśnienia.

– Chciałam pooddychać świeżym powietrzem. Pomyśleć. Otworzyłam Google Earth i znalazłam najbliższy apartamentowiec z przyzwoitym tarasem na dachu.

Patrzy na mnie z uśmiechem.

– Przynajmniej jesteś oszczędna – mówi. – To dobra cecha.

Przynajmniej?

Kiwam głową, bo rzeczywiście jestem oszczędna. I to naprawdę dobra cecha.

– Dlaczego miałaś ochotę pooddychać świeżym powietrzem? – pyta.

Dlatego że pochowałam dziś ojca, wygłosiłam powalająco beznadziejną mowę pożegnalną, a teraz mam wrażenie, że brak mi tchu.

Znowu spoglądam przed siebie i powoli wypuszczam powietrze.

– Czy moglibyśmy przez chwilę nie rozmawiać?

Wygląda na to, że moja prośba o ciszę sprawia mu pewną ulgę. Przechyla się przez barierkę i wpatruje w ulicę. Jego ramię bezwładnie zwisa po drugiej stronie. Przez jakiś czas trwa w tej pozycji, a ja cały czas mu się przyglądam. Prawdopodobnie o tym wie, ale najwyraźniej mu to nie przeszkadza.

– W ubiegłym miesiącu z tego dachu spadł jakiś facet – mówi.

Normalnie zdenerwowałby mnie jego brak poszanowania dla mojej prośby o ciszę, ale jestem lekko zaintrygowana.

– Wypadek?

Wzrusza ramionami.

– Nie wiadomo. To się stało późnym wieczorem. Jego żona twierdziła, że przygotowywała kolację, a on powiedział, że idzie na dach, żeby pstryknąć kilka zdjęć zachodzącego słońca. Był fotografem. Uznano, że przechylił się przez balustradę, żeby uchwycić panoramę, i się poślizgnął.

Spoglądam na balustradę, zastanawiając się, jak ktokolwiek mógłby z niej spaść przez przypadek. Potem jednak przypominam sobie, że zaledwie przed chwilą sama na niej siedziałam.

– Kiedy usłyszałem od siostry, co się wydarzyło, byłem w stanie myśleć tylko o tym, czy ostatecznie udało mu się zrobić to zdjęcie. Miałem nadzieję, że aparat nie spadł razem z nim, bo, no wiesz, byłoby naprawdę szkoda. Umrzeć z powodu miłości do fotografii i nie zrobić ostatniego zdjęcia, które przypłaciło się życiem.

Jego słowa doprowadzają mnie do śmiechu. Choć nie jestem pewna, czy powinnam się śmiać.

– Zawsze mówisz dokładnie to, co myślisz?

Wzrusza ramionami.

– Większości ludziom nie.

Uśmiecham się. Podoba mi się, że choć mnie nie zna, z jakiegoś powodu nie uważa mnie za „większość ludzi”.

Opiera się plecami o balustradę i spleta ręce na piersi.

– Urodziłaś się w Bostonie?

Kręcę głową.

– Nie. Po studiach przeprowadziłam się tu z Maine.

Marszczy nos i wygląda to całkiem seksownie – facet w koszuli Burberry i z fryzurą za dwieście dolarów, który robi śmieszne miny.

– Więc trafiłaś do bostońskiego czyścica, co? To musi być okropne.

– Co masz na myśli?

Kącik jego ust lekko się unosi.

– Turyści traktują cię jak miejscową, miejscowi traktują cię jak turystkę.

Śmieję się.

– Rany, to bardzo trafny opis sytuacji.

– Mieszkam tu od dwóch miesięcy. Nie trafiłem jeszcze nawet do czyścica, więc idzie ci lepiej niż mnie.

– Co cię sprowadza do Bostonu?

– Robię specjalizację. Poza tym mieszka tu moja siostra. – Stuka nogą w dach i dodaje: – Właściwie to mieszka tuż pod nami. Wyszła za łebskiego bostończyka i kupili sobie całe ostatnie piętro.

Spoglądam w dół.

– Całe?

Kiwa głową.

– Ten cholerny farciarz pracuje w domu. Nawet nie musi zdejmować piżamy, a rocznie zarabia siedmiocyfrowe kwoty.

Rzeczywiście, cholerny farciarz.

– Robisz specjalizację? Jesteś lekarzem?

Potakuje.

– Neurochirurgiem. Został mi jeszcze tylko niespełna rok i będę mógł się tak oficjalnie nazywać.

Elegancki, wygadany, a do tego bystry. I w dodatku pali trawę. Gdyby to było pytanie w teście, zaczęłabym się zastanawiać, który z tych elementów nie pasuje do obrazka.

– Czy lekarze powinni palić trawę?

Uśmiecha się cierpko.

– Pewnie nie. Ale gdybyśmy od czasu do czasu sobie na to nie pozwalali, to wierz mi, o wiele więcej z nas skakałoby z takich dachów. – Znowu spogląda przed siebie, opierając brodę na przedramionach. Zamyka oczy, jakby rozkoszował się podmuchem wiatru na twarzy. W takim wydaniu nie wygląda aż tak onieśmielająco.

– Chcesz usłyszeć coś, o czym wiedzą tylko miejscowi?

– Jasne – odpowiada, znowu skupiając na mnie uwagę.

Pokazuję na wschód.

– Widzisz ten budynek? Ten z zielonym dachem.

Kiwa głową.

– Za nim, przy Melcher, stoi drugi budynek. A na nim trzeci. To pełnoprawny dom wzniesiony na dachu tamtego. Z ulicy go nie widać, a sam budynek jest tak wysoko, że niewiele osób o nim wie.

Chyba zrobiło to na nim wrażenie.

– Naprawdę?

Kiwam głową.

– Zauważyłam go, kiedy siedziałam na Google Earth, więc sprawdziłam, o co chodzi. Okazuje się, że pozwolenie na budowę

wydano w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku. Byłoby super, nie? Mieszkać w domu stojącym na innym budynku.

– Miałabyś dla siebie cały dach – zauważa.

O tym nie pomyślałam. Gdyby dom był mój, mogłabym założyć na górze ogród. Miałabym ujście dla swoich frustracji.

– Kto w nim mieszka? – pyta.

– W zasadzie nie wiadomo. To jedna z wielkich bostońskich tajemnic.

Śmieje się, a potem uważnie mi się przygląda.

– A jakie są pozostałe wielkie bostońskie tajemnice?

– Twoje imię. – Gdy tylko wypowiadam te słowa, walę się ręką w czoło. Zabrzmiały tak tandetnie, że pozostaje mi tylko śmiać się z samej siebie.

Uśmiecha się.

– Ryle – mówi. – Nazywam się Ryle Kincaid.

Wzdycham, markotniejąc.

– Świetne imię.

– Dlaczego tak cię to zasmuca?

– Dlatego że oddałabym wszystko za wspaniałe imię.

– Lily ci się nie podoba?

Przechyliłam głowę i unoszę brew.

– Na nazwisko mam... Bloom*.

Milczy. Czuję, że stara się nie okazywać współczucia.

– Wiem. Brzmi okropnie. To dobre dla dwuletniej dziewczynki, a nie dla dwudziestotrzyletniej kobiety.

– Dwuletnia dziewczynka podrośnie i będzie się nazywała tak samo. Z imion i nazwisk się nie wyrasta, Lily Bloom.

– Na moje nieszczęście. Na domiar złego uwielbiam ogrodnictwo. Uwielbiam kwiaty. Uprawę roślin. To moja pasja. Zawsze marzyłam, żeby otworzyć kwaciarnię, ale obawiam się, że gdybym to zrobiła, ludzie uznaliby moje pragnienia za nieautentyczne. Pomyśleliby, że próbuję zbić kapitał na nazwisku i że

* *Lily* (ang.) – lilia; *bloom* (ang.) – kwiat (wszystkie przypisy pochodzą od tłum.).

tak naprawdę kwiaciarstwo wcale nie jest moim wymarzoną zawodem.

– Może i tak – mówi. – Ale jakie to miałyby znaczenie?

– Pewnie żadnego. – Zaskoczona słyszę własny szept: – Kwiaciarnia Lily Bloom. – Widzę, że lekko się uśmiecha. – To naprawdę wymarzone nazwisko dla kwiaciarki. Ale mam dyplom z zarządzania. Zajmowałabym się czymś poniżej swoich możliwości, nie uważasz? Pracuję dla największej firmy marketingowej w Bostonie.

– Prowadzenie własnego przedsiębiorstwa nie jest pracą poniżej swoich możliwości – odpowiada.

Unoszę brew.

– Chyba że przedsiębiorstwo splajtuję.

Kiwa głową.

– Chyba że splajtuję – przyznaje. – A jak masz na drugie, Lily Bloom?

Wydaję z siebie jęk, a on nadstawia uszu.

– Chcesz powiedzieć, że jest jeszcze gorzej?

Chowam twarz w dłoniach i kiwam głową.

– Rose?

Zaprzeczam.

– Gorzej.

– Violet?

– Chciałabym. – Krzywię się, a potem mamroczę: – Blossom*.

Na chwilę zapada cisza.

– O rany – mówi cicho.

– No. Blossom to panińskie nazwisko mojej matki i rodzice uznali, że synonimiczność ich nazwisk to przeznaczenie. Więc kiedy się urodziłam, oczywiście od razu pomyśleli o jakimś kwiatku.

– Twoi rodzice muszą być strasznymi dupkami.

Jedno z nich jest. Było.

* Blossom (ang.) – kwiat, kwiecie, kwitnąć.

– Ojciec umarł w tym tygodniu.

Spogląda na mnie.

– Jasne. Nie dam się nabrać.

– Mówię poważnie. Właśnie dlatego tu dzisiaj przyszedłem. Chyba po prostu muszę się porządnie wypłakać.

Przez chwilę przygląda mi się podejrzliwie, upewniając się, czy nie żartuję. Nie przeprasza za gafę. Zamiast tego w jego oczach pojawia się trochę większe zaniepokojenie, jakby naprawdę był zaintrygowany.

– Byliście ze sobą zżyci?

Trudne pytanie. Opieram brodę na rękach i znowu spoglądam na ulicę.

– Nie wiem – odpowiadam, wzruszając ramionami. – Jako córka go kochałam. Ale jako człowiek nienawidziłam.

Znów czuję, że mi się przygląda.

– To mi się podoba – mówi w końcu. – Ta twoja szczerość.

Podoba mu się moja szczerość. Chyba się rumienię.

Milczymy chwilę i znów słyszę jego głos:

– Żałujesz czasem, że ludzie nie są bardziej przezroczyści?

– To znaczy?

Trąca kciukiem kawałek odłupanego tynku, aż ten odrywa się od elewacji. Wyrzuca go za balustradę.

– Mam wrażenie, że każdy udaje kogoś, kim nie jest, a gęboko w środku wszyscy jesteśmy tak samo popieprzeni. Po prostu jedni ukrywają to lepiej niż inni.

Albo się upalił, albo ma niebывałe skłonności do introspekcji. Tak czy inaczej, nie przeszkadza mi to. Według mnie najlepsze rozmowy to te, w których nie ma prawdziwych odpowiedzi.

– Nie wydaje mi się, żeby odrobina powściągliwości była czymś szkodliwym – mówię. – Naga prawda nie zawsze jest przyjemna.

Przygląda mi się badawczo.

– Naga prawda – powtarza. – To mi się podoba. – Odwraca się i idzie na środek dachu. Reguluje oparcie jednego ze stojących

tam leżaków i sadowi się na nim, po czym wsuwa ręce pod głowę i patrzy w niebo. Biorę sąsiedni i ustawiam go w takiej samej pozycji.

– Lily, powiedz mi jakąś nagą prawdę.

– *À propos* czego?

Wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Czegoś, z czego nie jesteś dumna. Czegoś, dzięki czemu poczuje się trochę mniej popieprzony.

Wpatruje się w niebo, czekając na moją odpowiedź. Przesuwam wzrokiem po linii jego zuchwy, łuku policzków, konturze ust. Kontempluje widok, ściągając brwi. Nie mam pojęcia dlaczego, ale chyba potrzebuje teraz rozmowy. Zastanawiam się nad jego pytaniem i próbuję sformułować szczerą odpowiedź. Gdy na nią wpadam, odwracam się od niego i spoglądam na niebo.

– Mój ojciec był agresywny. Nie wobec mnie, ale wobec matki. Czasem, kiedy się kłócili, wpadał w taką złość, że ją bił. Przez następny tydzień albo dwa starał się jej to wynagrodzić. Kupował kwiaty albo zabierał nas na dobrą kolację. Czasami mi też kupował różne rzeczy, bo wiedział, że nie znoszę, kiedy się kłócą. W dzieciństwie wyczekiwałam tych ich wieczornych kłótni. Wiedziałam, że jeśli ją uderzy, dwa następne tygodnie będą wspinałe. – Milknę na chwilę. Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek przyznałam się do tego przed sobą samą. – Oczywiście gdybym mogła, wołałabym, żeby jej nie dotykał. Ale przemoc była nieodłącznym elementem ich małżeństwa i stała się dla nas normą. Kiedy podrosłam, zdałam sobie sprawę, że nie reagując na nią, byłam równie winna jak on. Przez większość życia go nienawidziłam, ale chyba jestem niewiele lepsza od niego. Może obydwoje jesteśmy złymi ludźmi.

Ryle spogląda na mnie w zamyśleniu.

– Lily – mówi z naciskiem. – Nie ma czegoś takiego jak źli ludzie. Po prostu wszyscy czasami robimy złe rzeczy.

Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, ale po jego słowach milknę. „Po prostu wszyscy czasami robimy złe rzeczy”.

W pewnym sensie to chyba prawda. Nikt nie jest wyłącznie zły albo wyłącznie dobry. Niektórzy muszą bardziej się starać, by zdusić w sobie zło.

– Twoja kolej – stwierdzam.

Sądząc po jego reakcji, nie ma ochoty grać we własną grę. Ciężko wzdycha i przeczesuje włosy palcami. Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, lecz po chwili je zamyka. Przez moment się zastanawia, aż wreszcie mówi:

– Dzisiaj wieczorem patrzyłem, jak umiera mały chłopiec. Miał tylko pięć lat. Razem z młodszym bratem znaleźli pistolet w sypialni rodziców. Młodszy trzymał broń, a ona przypadkiem wypaliła.

Czuję ucisk w żołądku. Obawiam się, że to dla mnie trochę za dużo prawdy.

– Kiedy trafił na stół operacyjny, niewiele można było zrobić. Wszyscy wokół – pielęgniarki, inni lekarze – współczuli rodzinie. „Biedni rodzice”, powtarzali. Ale kiedy musiałem wejść do poczekalni i powiedzieć tym rodzicom, że ich dziecko nie przeżyło, nie było mi ich ani trochę szkoda. Chciałem, żeby cierpieli. Chciałem, żeby poczuli ciężar swojej ignorancji, bo przecież trzymali naładowany pistolet w zasięgu dwojga niewinnych dzieci. Chciałem, żeby wiedzieli, że nie tylko stracili dziecko, ale i zrujnowali życie temu, które przez przypadek pociągnęło za spust.

Jezu Chryste. Nie byłem przygotowana na coś tak przytłaczającego.

Nawet nie jestem w stanie pojąć, jak ta rodzina po czymś takim żyje.

– Szkoda mi brata tego chłopca – mówię. – Nie wyobrażam sobie, jak to doświadczenie na niego wpłynie.

Ryle strzepuje coś z kolana.

– Zniszczy mu życie.

Przekręcam się na bok, żeby spojrzeć mu w oczy, i podpieram się na ręce.

– Czy to jest trudne? Codzienne oglądanie takich scen?

Lekko kręci głową.

– Powinno być o wiele trudniejsze, ale im dłużej mam do czynienia ze śmiercią, tym bardziej staje się ona dla mnie częścią życia. Nie jestem pewny, co o tym myśleć. – Znowu nawiązuje ze mną kontakt wzrokowy. – Powiedz coś jeszcze – prosi. – Mam wrażenie, że moja naga prawda była bardziej pokręcona od twojej.

Nie zgadzam się z tym, ale mówię mu o swoim pokręconym wyczynie sprzed zaledwie dwunastu godzin.

– Dwa dni temu mama spytała, czy mogłabym wygłosić mowę pożegnalną na pogrzebie ojca. Powiedziałam, że czułabym się nieswojo – że mogłabym za bardzo płakać, żeby przemawiać przed zgromadzonymi ludźmi – ale to było kłamstwo. Po prostu nie miałam ochoty tego robić, bo uważam, że mowy pożegnalne powinni wygłaszać ludzie, którzy szanowali zmarłych. A ja nie darzyłam ojca zbyt wielkim szacunkiem.

– Zrobiłaś to?

Kiwam głową.

– Tak. Dziś rano. – Siadam na leżaku i podwijam nogi, patrząc mu w twarz. – Chcesz to usłyszeć?

Uśmiecha się.

– Pewnie.

Składam ręce na kolanach i biorę wdech.

– Nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Mniej więcej godzinę przed pogrzebem wyznałam mamie, że nie chcę tego robić. Ale ona twierdziła, że to proste i że ojciec chciałby, żebym wygłosiła tę mowę. Że muszę tylko stanąć na mównicy i powiedzieć o nim pięć wspaiałych rzeczy. No więc... właśnie tak zrobiłam.

Ryle też podpira się łokciem, wydaje się jeszcze bardziej zainteresowany. Widząc moją twarz, domyśla się, że będzie gorzej.

– O nie, Lily. Co takiego zrobiłaś?

– Już mówię. Pozwól, że to dla ciebie odegram. – Podnoszę się i staję za oparciem leżaka. Prostuję się i udaję, że spoglądam na to samo zatłoczone pomieszczenie, w którym znalazłam się

dziś rano. Chrząkam. – Dzień dobry. Nazywam się Lily Bloom, jestem córką zmarłego Andrew Blooma. Dziękuję wam wszystkim, że dzielicie z nami ból po jego odejściu. Chciałam oddać mu cześć, dzieląc się z wami pięcioma wspaniałymi rzeczami, które go dotyczyły. Po pierwsze... – Patrzę na Ryle'a i wzruszam ramionami. – I tyle.

Siada na leżaku.

– Jak to?

Zajmuję miejsce na swoim i kładę się z powrotem.

– Stałam tam przez bite dwie minuty, nie mówiąc ani słowa więcej. Nie mogłabym powiedzieć o tym człowieku żadnej dobrej rzeczy, więc tylko w milczeniu gapiłam się na ludzi, aż w końcu mama zrozumiała, co się dzieje, i kazała wujkowi usunąć mnie z mównicy.

Ryle przechyla głowę.

– Żartujesz? Wygłosiłaś antymowę pożegnalną na pogrzebie własnego ojca?

Kiwam głową.

– Nie jestem z tego dumna. Chyba nie. To znaczy gdyby był lepszym człowiekiem, mówiłabym o nim przez godzinę.

Ryle kładzie się z powrotem.

– Rany. – Kręci głową. – Chyba zostałam moją bohaterką. Właśnie zjechałaś nieboszczyka.

– To niesmaczne.

– No tak. Naga prawda boli.

Śmieję się.

– Twoja kolej.

– Tego nie przebiję – mówi.

– Na pewno dasz radę.

– Wątpię.

Przewracam oczami.

– Jasne, że tak. Nie pozwól, żebyś czuła się gorsza z nas dwojga. Powiedz, jaka była twoja ostatnia myśl, której większość ludzi nie wypowiedziałaby na głos.

Wkłada ręce za głowę i patrzy mi prosto w oczy.

– Chcę się z tobą pieprzyć.

Rozdziawiam usta. A po chwili zamykam je z powrotem.

Chyba odebrało mi mowę.

Rzuca mi niewinne spojrzenie.

– Prosiłaś o ostatnią myśl, więc ci powiedziałem. Jesteś piękna. Ja jestem facetem. Gdybyś lubiła jednorazowe przygody, zabrałbym cię na dół do swojej sypialni, żeby się z tobą pieprzyć.

Nie jestem w stanie nawet na niego spojrzeć. Jego słowa wywołują we mnie mnóstwo różnych emocji.

– No tak, ale ja nie lubię jednorazowych przygód.

– Domyśliłem się – odpowiada. – Twoja kolej.

Zachowuje się tak nonszalancko. Jakby jego słowa wcale mnie nie zaszokowały.

– Potrzebuję trochę czasu, żeby dojść do siebie – przyznaję ze śmiechem. Staram się wymyślić coś lekko szokującego, ale nie potrafię przejść do porządku dziennego nad tym, co właśnie usłyszałam. Może dlatego, że jest neurochirurgiem i nigdy nie przyszedłoby mi do głowy, że ktoś tak wykształcony mógłby z taką swobodą używać słowa „pieprzyć”.

Biorę się w garść... do pewnego stopnia. A potem mówię:

– No dobrze. Skoro już poruszyliśmy ten temat... pierwszy facet, z którym uprawiałam seks był bezdomny.

Ożywia się i spogląda na mnie.

– O, muszę usłyszeć coś więcej na ten temat.

Wyciągam rękę i kładę na niej głowę.

– Wychowałam się w Maine. Mieszkaliśmy w dość porządnej okolicy, ale ulica za naszym domem nie była w najlepszym stanie. Nasze podwórko graniczyło z domem przeznaczonym do rozbiórki sąsiadującym z dwiema opuszczonymi działkami. Zaprzyjaźniłam się z facetem o imieniu Atlas, który tam pomieszkiwał. Nikt oprócz mnie nie wiedział, że tam jest. Zanoślałam mu jedzenie, ubrania i inne rzeczy. Dopóki nie dowiedział się o tym mój ojciec.

– Co zrobił?

Zaciskam zęby. Nie wiem, dlaczego o tym wspomniałam, skoro codziennie muszę się starać, żeby o tym nie myśleć.

– Pobił go. – Jeśli chodzi o tę historię, nie mam ochoty na więcej nagiej prawdy. – Twoja kolej.

Przez chwilę przygląda mi się w milczeniu, jakby wiedział, że moja opowieść ma ciąg dalszy. Potem jednak odwraca wzrok.

– Myśl o małżeństwie mnie odpycha – mówi. – Dobijam do trzydziestki i wcale nie chcę mieć żony. A już zwłaszcza nie chcę dzieci. Jedyne, czego chcę od życia, to sukces. Wielki sukces. Tylko że jeśli powiem o tym głośno, wyjdę na aroganta.

– Chodzi ci o sukces zawodowy czy o społeczny?

– O oba – odpowiada. – Dzieci może mieć każdy. Każdy może wziąć ślub. Ale nie każdy może być neurochirurgiem. Czerpię z tego wielką dumę. I nie chcę być jedynie wspaniałym neurochirurgiem. Chcę być najlepszy w swojej dziedzinie.

– Masz rację. Rzeczywiście wychodzisz na aroganta.

Uśmiecha się.

– Moja mama się martwi, że marnuję sobie życie, dlatego że ciągle tylko pracuję.

– Jesteś neurochirurgiem i twoja mama jest tobą r o z c z a r o w a n a? – pytam ze śmiechem. – Boże, przecież to obłąd. Czy rodzice kiedykolwiek są zadowoleni z dzieci? Czy dzieci kiedykolwiek są dość dobre?

Kręci głową.

– Moje by nie były. Niewielu ludzi ma takie ambicje jak ja, więc moje dzieci byłyby skazane na porażkę. Właśnie dlatego nigdy nie będę ich miał.

– Ryle, w zasadzie uważam, że to, co mówisz, zasługuje na szacunek. Mnóstwo osób nie chce przyznać, że są zbyt wielkimi egoistami, żeby mieć dzieci.

Kręci głową.

– O, ja jestem stanowczo zbyt wielkim egoistą, żeby mieć dzieci. I stanowczo zbyt wielkim egoistą, żeby być w związku.

– Jak tego unikasz? Po prostu nie chodzisz na randki?

Szybko spogląda mi w oczy, a na jego ustach pojawia się lekki uśmiech.

– Jeśli mam czas, znajdują się dziewczyny, które zaspokajają moje potrzeby. Niczego mi pod tym względem nie brakuje, jeśli o to pytasz. Ale miłość nigdy nie wydawała mi się atrakcyjna. Zawsze jest przede wszystkim ciężarem.

Chciałabym patrzeć na miłość w ten sposób. Moje życie byłoby wtedy o wiele łatwiejsze.

– Zazdroszczę ci. Ja ciągle wierzę, że gdzieś tam istnieje mężczyzna, który byłby dla mnie idealny. Zwykle łatwo się nudzę facetami, bo nikt nie spełnia moich oczekiwań. Czuję się, jakbym bez końca szukała Świętego Graala.

– Powinnaś spróbować mojej metody – mówi.

– Czyli?

– Jednorazowe przygody. – Unosi brew, jakby to było zaproszenie.

Dobrze, że jest ciemno, bo moja twarz płonie.

– Nie potrafiłabym się z kimś przespać, wiedząc, że nic więcej z tego nie będzie. – Mówię. Nie brzmi to przekonująco.

Powoli bierze głęboki wdech i przewraca się na plecy.

– To nie w twoim stylu, co? – pyta z nutą rozczarowania w głosie.

Czuję się równie zawiedziona jak on. Nie jestem pewna, czy rzeczywiście bym mu odmówiła, gdyby wykonał pierwszy krok, ale chyba właśnie straciłam swoją szansę.

– Więc nie przespałaś się z nowo poznaną osobą... – Znowu patrzy mi w oczy. – Ale jak daleko byłabyś skłonna się posunąć?

Nie potrafię odpowiedzieć. Przewracam się na plecy, bo patrzy na mnie w taki sposób, że mam ochotę ponownie przemyśleć sprawę jednorazowych przygód. Chyba niekoniecznie jestem im przeciwna. Po prostu nigdy nie proponował mi ich nikt, kogo byłabym skłonna wziąć pod uwagę.

Aż do teraz. Chyba. Bo czy to w ogóle była propozycja? Flirtowanie zawsze szło mi beznadziejnie.

Wyciąga rękę i łapie za krawędź mojego leżaka. Jednym gładkim ruchem i z minimalnym wysiłkiem przysuwa go do swojego, a ich boki lekko o siebie uderzają.

Cała sztywnieję. Jest teraz tak blisko, że czuję ciepło jego oddechu. Gdybym miała unieść głowę i na niego spojrzeć, nasze twarze dzieliłyby zaledwie centymetry. Nie chcę na niego patrzeć, bo prawdopodobnie by mnie pocałował, a jeśli pominąć kilka nagich prawd, zupełnie nic o nim nie wiem. Wcałe jednak nie ciąży mi to na sumieniu, gdy ciężko kładzie rękę na moim brzuchu.

– Jak daleko byś się posunęła, Lily? – Jego głos brzmi dekadenco. Miętko. Przenika mnie aż po palce u nóg.

– Nie wiem – szepczę.

Jego dłoń zaczyna pełznąć ku krawędzi mojej bluzki. Powoli przesuwa ją w górę, odsłaniając skrawek mojego brzucha.

– Jezu – szepczę, czując ciepło skóry na swojej.

Wbrew zdrowemu rozsądkowi znowu patrzę mu w oczy i jego spojrzenie całkowicie mnie hipnotyzuje. Są w nim nadzieja, głód i całkowita pewność siebie. Przygryza dolną wargę, a jego dłoń zaczyna powoli wsuwać mi się pod bluzkę. Wiem, że czuje, jak serce łomocze mi w piersi. Do diabła, pewnie nawet to słyszy.

– Czy to za daleko? – pyta.

Nie wiem, skąd się to we mnie bierze, ale kręcę głową i mówię:

– Ani trochę.

Uśmiecha się i muska palcami dół mojego stanika, delikatnie przesuając opuszkami po moim ciele, które pokryło się gęsią skórą.

Gdy tylko zamykam oczy, powietrze przeszywa przenikliwy dźwięk. Ręce Ryle'a sztywnieją i obydwoje uświadamiamy sobie, że to telefon. Jego telefon.

Opuszcza czoło na moje ramię.

– Niech to szlag.

Gdy jego ręka wyslizguje się spod mojej bluzki, marszczę brwi. Gmera w kieszeni w poszukiwaniu komórki, wstaje i odchodzi kilka kroków, żeby odebrać połączenie.

– Doktor Kincaid. – Słucha w skupieniu, zaciskając dłoń na karku. – A Roberts? Nie mam dzisiaj dyżuru. – Znów milczy, a potem mówi: – No dobrze, daj mi dziesięć minut. Już jadę.

Kończy rozmowę i wsuwa telefon z powrotem do kieszeni. Gdy się do mnie odwraca, wygląda na nieco zawiedzionego. Pokazuje drzwi prowadzące na klatkę schodową.

– Muszę...

Kiwam głową.

– W porządku.

Przygląda mi się przez kilka sekund i unosi palec.

– Nie ruszaj się – mówi, znowu sięgając po telefon. Podchodzi bliżej, trzymając go w górze, jakby zamierzał pstryknąć mi zdjęcie. Chcę zaprotestować, ale w zasadzie nie wiem dlaczego. Jestem ubrana. Tyle że z jakiegoś powodu czuję się naga.

Robi mi zdjęcie, gdy leżę na leżaku z rękami luźno spoczywającymi nad głową. Nie mam pojęcia, do czego jest mu potrzebne, ale cieszę się, że je pstryknął. Cieszę się, że odczuwa potrzebę zapamiętania, jak wyglądam, choć wie, że nigdy więcej się nie spotkamy.

Przez kilka sekund wpatruje się w zdjęcie na wyświetlaczu, a potem się uśmiecha. Kusi mnie, żeby też pstryknąć mu zdjęcie, ale nie jestem pewna, czy chcę pamiętać o kimś, kogo już nie zobaczę. Ta myśl trochę mnie przygnębia.

– Miło było cię poznać, Lily Bloom. Mam nadzieję, że twoje marzenie nie podzieli losu większości marzeń i uda ci się je spełnić.

Uśmiecham się, równie zasmucona co zdziwiona tym facetem. Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek zdarzyło mi się spędzić czas z kimś takim jak on – kimś prowadzącym zupełnie inny styl życia i mieszczącym się w innym przedziale podatkowym niż ja. Prawdopodobnie nigdy więcej się to nie powtórzy. Jestem jednak mile zaskoczona, widząc, że wcale się aż tak bardzo nie różnimy.

Pierwsze wrażenie okazało się mylne.

Przez chwilę wpatruje się w swoje stopy i wygląda na nieco skrzępowanego. Jakby utknął między pragnieniem powiedzenia

mi czegoś więcej a potrzebą odejścia. Spogląda na mnie po raz ostatni. Nie ma już twarzy pokerzysty – w ułożeniu jego ust dostrzegam rozczarowanie. Po chwili odwraca się i rusza w przeciwną stronę. Otwiera drzwi, a gdy pospiesznie schodzi po schodach, słyszę jego cichnące kroki. Znowu jestem na dachu sama, lecz ku mojemu zaskoczeniu teraz trochę mnie to zasmuca.